

PISMO PARAFII NARODZENIA NMP W BIEŻANOWIE

# PŁOMIEŃ

NR 1 (23) • BIEŻANÓW • 7 KWIETNIA 1996 • 60 gr

Z nauczania Ojców

## WIELKANOC

*Wczoraj dałem się ukrzyżować z Chrystusem, dzisiaj razem z Nim okrywa mnie chwała; wczoraj dałem się z Nim zabić, dzisiaj wracam do życia. Wczoraj wszedłem z Nim do grobu, dziś z Nim powstaję z martwych.*

*Przynośmy więc dary Temu, który dla nas poniósł mękę i dla nas zmartwychwstał. Może sądziecie, że mówię o złocie lub srebrze, albo o drogich tkaninach czy o świecących i cennych kamieniach. To wszystko jest materialne, pochodzi z ziemi, na niej zostaje, a większą jej część zawsze mają w swym posiadaniu ludzie źli oraz niewolnicy dóbr ziemskich i książęta tego świata. Natomiast przynieśmy w darze siebie samych, najcenniejszy i najmiłszy Bogu skarb.*

*Stańmy się podobni do Chrystusa, ponieważ Chrystus stał się podobny do nas. Stańmy się przez Niego Bogami, ponieważ On przez nas stał się Człowiekiem! Przyjął na siebie to, co gorsze, aby dać nam to, co lepsze. Stał się żebrakiem, byśmy się wzbogacili Jego nędzą. Przybrał postać niewolnika, byśmy otrzymali wolność. Zstąpił na dół, byśmy byli wywyższeni. Pozwolił się kusić, byśmy zwyciężyli. Doznawał zniewagi, byśmy byli uwielbieni; umarł, aby nas ocalić; wstąpił do nieba, aby pociągnąć do siebie tych, którzy leżą na ziemi, bo poraził ich grzech.*

*Niech każdy da wszystko, niech wszystko przynieś w darze Temu, który samego siebie dał jako przeżycie i okup za nas. Największą zaś ofiarą będzie wejście w to misterium, czyli przyjęcie przez nas dla Niego tych wszystkich cech, jakie On posiadał, kiedy dla nas przyjął nasze.*

*św. Grzegorz z Nazjanzu († 390)*

## Alleluja!



### W NUMERZE:

**Powstaje nowe osiedle - Reportaż - 2**

**Do młodych: o miłości - 4**

**i o wierze - 5**

**Historia bieżanowskiego żołnierza - 6**

**Moja książka - 8**

**Mój film - 8**

**Jaki komputer? - 9**

**Całun turyński - 10**

**Baranek Paschalny - 11**


**Z życia parafii - 12**

**Kronika parafialna - 12**

**Co w KDK? - 12**

## REPORTAŻ

## Narodziny osiedla.



Kiedyś były tu pola, na których uprawiano żyto, pszenicę, rosły buraki. Później, na początku lat osiemdziesiątych znaczną część obszaru wykupiło państwo. Miały tu powstać „Wojskowe Zakłady Remontowe” oraz magazyny przedsiębiorstwa „Igloopol”. Budowę rozpoczęto z wielkim rozmachem i... niespodziewanie przerwano, kiedy nadszedł czas „pokojoyej rewolucji 1989”. Dziś opodal niedokończonych szkieletów hal i hangarów produkcyjnych rośnie szybko nowe osiedle, które swoją nazwę przyjęło od pobliskiej ulicy Złocieniowej.

Pierwsi mieszkańcy wprowadzili się tu w listopadzie ubiegłego roku, z każdym tygodniem przybywało nowych lokatorów. Osiedle zaludniało się.

Pochodzą w większości spoza Krakowa. Część z nich to inżynierowie, nauczyciele... pozostali jeszcze studiują. Prawie wszyscy mieszkańcy tego osiedla to młodzi ludzie, którzy poznali się na studiach w Krakowie, zawarli związki małżeńskie i postanowili pozostać w tym mieście. Cały czas szukali mieszkania i właśnie nowo powstałe osiedle okazało się dla nich wielką szansą.

Dlaczego wybrali właśnie to miejsce? Z konieczności *...bo to najtańsze mieszkanie jakie znaleźliśmy w Krakowie...* - mówią mieszkańcy. Za metr kwadratowy początkowo ustalono tu cenę 500 PLN, ale później skończyło się na 690 PLN.

Dzisiaj na osiedlu panuje ogromny ruch, w mgnieniu oka obok już zamieszkałych budynków

wyrastają nowe. Wszędzie pełno robotników, zewsząd słychać hałas silników samochodów ciężarowych, wydaje się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Nie zawsze jednak było tak optymistycznie, przez pewien czas *...nie wiadomo było, czy będziemy tu mieszkać...* - wspominają mieszkańcy. Budowa przechodziła różne koleje losu, firma budowlana, która jako pierwsza realizowała plan osiedla „Złocien” zbankrutowała i losy projektu stanęły pod dużym znakiem zapytania. Sytuacja była dramatyczna - *...Nie wiadomo było czy w ogóle będziemy tutaj mieszkać[...]* mimo, że pieniądze już były wpłacone... - ta sytuacja powodowała, że ludzie solidaryzowali się ze sobą, robili wszystko, aby zrealizować swoje marzenie o własnym mieszkaniu.

Wreszcie nadszedł moment oddania do użytku pierwszego bloku, w którym zamieszkały cztery rodziny. Był to akurat przełom października i listopada. Życie początkowo było bardzo ciężkie - *...nie było ani prądu, ani wody...* - o ogrzewaniu już nie wspominając. A należy pamiętać, że ubiegłoroczna jesień należała do wyjątkowo zimnych. *Walczyliśmy o to, aby tutaj cokolwiek było* - wspominają dziś z dumą mieszkańcy.

Pracy było dużo, należało zagospodarować gołe ściany, do jakich się wprowadzili. Każdy z nich więc we własnym zakresie wykańczał otrzymane „metry kwadratowe”, aby móc jak najszybciej zamieszkać na swoim.

Ta niepewność oraz potrzeba współdziałania w celu załatwienia czegokolwiek pozwoliła im się

bardziej zgrać, uodporniła na ogromne trudności.

Dziś zamieszkałych jest już sześć bloków, a kolejne powstają w szybkim tempie. Zgodnie z planami, osiedle „Złocien” ma być typowym osiedlem złożonym z niskich, jednopiętrowych budynków w zwartej zabudowie. Pierwsze sześć z nich jest już całkowicie wybudowane i wykończone. Wszystkie wytynkowane na biały kolor posiadają indywidualne wejście do każdego mieszkania oraz odpowiednią ilość garaży. Typowe mieszkanie składa się z dwóch, trzech pokoi z kuchnią oraz małego balkoniku. Teren dookoła bloków zamieniono w trawniki, na których lada dzień zazieleni się trawa. Położono chodniki, przygotowano podłoże pod asfalt. Już niedługo osiedle „Złocien” (choć w części) z terenu budowy przekształci się w spokojne i estetycznie urządzone miejsce.

Ale na razie *...jest trudno, brniemy w błocie...* - mówią mieszkańcy. Ponieważ osiedle powstało na uboczu, aby zrobić zakupy, czy też dostać się na pocztę trzeba iść pół godziny.

Sama droga na osiedle, zwłaszcza w czasie wiosennych roztopów pozostaje bardzo dużym wyzwaniem. Jedynie w miarę sucho można się tam dostać samochodem, ale nie wszystkich na taki luksus stać. Codziennie więc muszą pokonywać tę samą błotnistą drogę, aby móc dostać się na przystanek linii bądź to 143, bądź też 108. Ale i ta niedogodność w najbliższym czasie ma być rozwiązana. Już od dłuższego czasu mówi się o przedłużeniu do osiedla „Złocien” linii 108, albo też o

nowej linii autobusowej. Mieszkańcy, wbrew trudnościom, jakie napotyka, na każdym kroku zdają się być optymistami.

*Wierzmy że to się zmieni, nie mamy nadziei, że to się zmieni za rok czy półtora, ale za ileś tam lat na pewno tak...* - twierdzą zapytani o przyszłość osiedla. Każdy uważa, że ten skrawek ziemi, na którym stoi kilka bloków, będzie kiedyś częścią dużego osiedla z odpowiednią infrastrukturą handlowo-usługową, a oni będą właśnie tymi, dla których to marzenie stanie się rzeczywistością.

Twierdzą, że takie życie na uboczu „ma swoje uroki”, jest o wiele mniejszy ruch samochodowy i hałas z tym związany. Panująca dookoła cisza pomaga w odpoczynku po całodziennym dniu. Jedyną rzeczą, która ich tu jeszcze przeraża, to ogromne, dzikie wysypiska śmieci znajdujące się opodal osiedla. Ale mają nadzieję, że i

ten problem w miarę rozwoju osiedla zostanie rozwiązany.

A osiedle rozwijać się będzie chyba szybko, bo tanie budownictwo, mimo, że daleko od wszelkich udogodnień cywilizacyjnych, chętnie znajduje nabywców. Już teraz, kiedy nowe bloki kończą się na fundamentach, nowi potencjalni lokatorzy przyjeżdżają, oglądają, mają nadzieję, że któreś z nowo wybudowanych mieszkań będzie należało właśnie do nich.

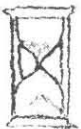
Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z tym, co zaplanowano, to za kilka lat na nowym osiedlu będzie mieszkać nie kilkaset osób, jak dzisiaj, ale kilkanaście (około 20) tysięcy mieszkańców, a wtedy będzie to już na pewno osiedle o wysokim standardzie życia...

Obok już wybudowanych bloków widać prace, powstają kolejne trzy budynki, w których będzie łącznie 121 mieszkań dla nowych potencjalnych mieszkańców. Z

pewnością osiedle będzie się teraz rozwijać coraz szybciej, nowi mieszkańcy będą zajmować nowo powstałe mieszkania, ale wszystko będą zawdzięczać tym pierwszym, którzy mimo ogromnych trudności postanowili tu zostać i dzięki determinacji których to osiedle powstało i rozwija się.

**Paweł & Tomek**

**CO W TRAWIE PISZCZY ?!**



## MINIATURA

### Abyś dzień święty święcił...

*„Jest niedzielne popołudnie. Już po obiedzie, kawa będzie dopiero za chwilę. Jeszcze tylko kilka minut i będziesz mógł w końcu odbyć swą niedzielną popołudniową drzemkę. Nie jest ważne, że w kuchni tyś się naciął przy umyciu, że dzieci chcą abyś pograł z nimi w jakąś grę, że pies niecierpliwie kręci się pod drzwiami w oczekiwaniu na spacer. Ty przecież musisz odpocząć. Wczoraj dłużej posiedziałeś przed telewizorem, oglądając w sumie głupi i nudny film, z którego dziś niewiele pamiętasz. Nie zdążyłeś więc wyspać się, a i o modlitwie kto by pamiętał o tak późnej porze.*

*Rano obudziły cię szalejące dzieci, które na wszelkie sposoby usiłowały wciągnąć cię do zabawy. Ty zamiast uśmiechu, pokazałeś im wyszczerzone w grymasie złości zęby. W złym humorze od samego rana, zbeształeś żonę, która nie dość szybko zrobiła ci śniadanie. Nawet biednemu psu się oberwało, bo zaciągnął gdzieś w kąt przedpokojku swoje kapcie.*

*Potem pańszczyzna do odrobienia - Msza święta. Ksiądz przynudzał, chór brzydko śpiewał, a tak w ogóle, to*

*wszystko trwało zbyt długo. I jeszcze te plamy błota na kolanach - po co komu to klękanie. Wreszcie tuż po rozpoczęciu Komunii można iść do domu.*

*Przed obiadem chwila na relaks. Papieros i stos krzyżówek do rozwiązywania. Nie przeszkadzało ci nawet postukanie garnkami w kuchni, ani płacz dziecka, które rozbiło sobie kolano ganiając z psem po schodach.*

*W trakcie obiadu nie pozwoliłeś wyłączyć telewizora - był przecież twój ulubiony film, który widziałeś przynajmniej pięć razy. Żona musiała przesiąść się na drugi koniec stołu, bo zasłaniała ekran...*

*Spocony i przestraszony usiadłeś na łóżku. Zasunięte żaluzje nie przepuszczały żadnego światła. Toż to chyba środek nocy. Rozejrzałeś się; w zasięgu wzroku pojawiły się fluoryzujące wskazówki budzika. Można jeszcze pospać. Ale coś nie pozwalało ci usnąć. Włączyłeś radio. Popłynęła cicha i spokojna muzyka, a głos spikera obwieścił: „Jest piąta dwadzieścia. Zapowiada się piękny, słoneczny dzień. Mamy dziś niedzielę...”*

**Ewa**



Arabska księżniczka postanowiła poślubić jednego ze swych niewolników. Żadne prośby króla, aby dziewczyna zmieniła zdanie, nie dawały rezultatu. Doradcy króla zalamywali ręce i nikt nie wiedział co zrobić, by zapobiec mezaliansowi.

W końcu na królewski dwór przybył stary mędrzec i słysząc o zmartwieniu króla, rzekł:

- Mylą się wszyscy ci, którzy radzą Waszej Wysokości, by zabronić córce ślubu, bo tym bardziej będzie Cię ona nienawidzić i tym bardziej będzie kochać niewolnika!

- Powiedz więc co mam zrobić - odparł król.

Mędrzec zasugerował mu pewien plan i choć król długo nie chciał się zgodzić, nie widząc innego rozwiązania, kazał zawołać do siebie królownę.

- Mam zamiar poddać twoją miłość do tego człowieka próbie. Zostaniecie zamknięci w małej celi na trzydzieści dni i nocy. Gdy po tym czasie nadal będziesz chciała go poślubić, dostaniesz moją zgodę.

Uszczęśliwiona księżniczka przytuliła się do ojca i z radością przyjęła propozycję.

- Cóż to dla mnie; mogłabym go poślubić już w dniu, gdy go poznałam. Jest młody i przystojny, więc będzie dobrym mężem.

Zostali więc zamknięci. Wszystko szło dobrze przez pierwsze kilka dni, lecz wkrótce nadeszła nuda. Po tygodniu królowna marzyła o innym towarzystwie, denerwowało ją wszystko - każde, nawet dobre słowo „ukochanego”. Po dwóch tygodniach miała już dość; zaczęła walić pięściami w drzwi i krzyczeć, by wreszcie ktoś ją wypuścił. Gdy to uczyniono, rzuciła się w ramiona ojca, dziękując mu za ocalenie od nudy i nienawiści, jaką teraz żywiła do tego człowieka, który jeszcze dwa tygodnie temu wydawał się jej jedynym kandydatem na męża.

## MŁODYM

### Póki wiosna, póki trwa!

**Poznanie siebie osobno, czyni życie wspólne łatwiejszym, bo bez czasu i dystansu nie ma wspólnej więzi.**

Gdy szukałam tematu na jaki mam napisać artykuł, pytałam młodych ludzi o czym chcieliby przeczytać tym razem. „O miłości” mówili jedni, „o przyjaźni”, prosili drudzy. Wyjrzałam przez okno i stwierdziłam, że to dobre, choć bardzo trudny pomysł.

Dni stają się coraz dłuższe, w słońcu jeszcze z dużą nieśmiałością zaczynają wygrzewać się koty, zielone kępki trawy wyrastają w miejscach dopiero co stopniałego śniegu - co tu dużo mówić, idzie wiosna.

My również psychicznie i fizycznie zaczynamy się budzić z „zimowego snu”, jako doniosły element budujący życie na tej planecie. Co prawda teraz, gdy ciągle obowiązują zimowe kurtki, a Marzannę najlepiej byłoby utopić na krytym basenie - gdzie jest pewność, że woda nie zamarza - jeszcze tego nie zauważamy, ale niech tylko zrobi się cieplej - od razu widać będzie jak mocno ludzie wpleceni są w ten „ziemi krąg” (to z „Króla Lwa”).

Miłość można porównać do ogrodu, który, aby był piękny, w każdej porze roku wymaga odpowiedniej pielęgnacji. Pierwszy etap to *wiosna*, bo zakochanie jest jak wiosna. Czujemy się tak, jakbyśmy mieli już zawsze być szczęśliwi. Nie wyobrażamy sobie jak moglibyśmy przestać kochać. W tej czarownej aurze wszystko przychodzi z łatwością i wydaje się być idealne. W tym pierwszym etapie poznawania się warto pamiętać o przejrzystości swojej osobowości. Nie lubimy, gdy ktoś nas okłamuje. Tracimy zaufanie do osoby, która (przepraszam za wyrażenie) robi z gęby cholewę - ta cholewa to maski, które bardzo często zakładamy, by okazać się lepszymi, bardziej prawymi - zwłaszcza osobie na której nam tak bardzo zależy.

Wznosimy mur wokół siebie. W ogóle nasza kultura lubi podziwiać

takich zimnych bohaterów jak James Bond - silnych, bezproblemowych, polegających tylko na sobie, oderwanych od wszelkich kontaktów osobistych. Często zdaje się nam, że będziemy lubiani i kochani, jeśli staniami się indywidualistami, którzy nikogo nie dopuszczają do swego wnętrza. Owszem, może i pewna grupa ludzi będzie podziwiać takie cechy, ale przecież podziw niekoniecznie prowadzi do zażyłości i miłości.

**Gdy pada deszcz i wokół chłód zakładamy gumowce, ale nie robimy tego gdy wzrasta temperatura (również w sferze uczuć) - bo to po pierwsze głupie, po drugie niezdrowe.**

Możemy nigdy nie poznać samych siebie, jeśli nie otworzymy się przed drugą osobą. Jedna z wyroczni delfickich brzmi - "Poznaj siebie". Myślę, że bardziej słusznym jest powiedzieć: "daj się poznać innym, a wtedy poznasz siebie".

Wiosna kiedyś się kończy i naturalną konsekwencją upływu czasu jest nadejście *lata*. To, co zasialiśmy na wiosnę, teraz wzrasta. Zauważmy, że jeśli wiosną nie napracujemy się nad zrobieniem grządek, ścieżek, nad umiejętnym zasianiem warzyw, kwiatów, itd., to latem w ogrodzie będzie panował totalny nieład. Często jest tak, że dopiero w okresie lata miłości odkrywamy, że on czy ona nie są tacy idealni, jak man się wydawało - często dochodzimy do wniosku, że nasz wybranek pochodzi z innej planety, na której obowiązuje inny system znaków porozumiewawczych, który my nie zawsze znamy.

Mylnie sądzimy, że jeśli nasi partnerzy kochają nas, to będą reagować i zachowywać się w określony sposób. Taki sam, w jaki my reagujemy i zachowujemy się, gdy kogoś kochamy. Tylko wtedy, gdy szanujemy swoją odrębność i uczymy się jak myśli, kocha i czego oczekuje druga strona - miłość może się rozwijać.

A przykładów takich odrębności między kobietami i mężczyznami

można wymienić tysiące. Mężczyźni mając problem rzadko o nim mówią, szukają rozwiązania konkretnego, u kompetentnej osoby i na tym koniec. Kobiety mając problem "wałkują" go 1000 razy z każdą napotkaną koleżanką, próbują jej rozwiązań, nawet gdy są one nieskuteczne cieszą się otrzymaną radą. Podczas gdy Bogu ducha winna kobieta dzieli się swoim niepokojem, albo głośno rozważa problem, mężczyzna udziela konkretnej rady i uważając problem za rozwiązany nie słucha dalej. Jeśli kobieta ją wykorzysta - wszystko w porządku - jeśli jednak ją odrzuci i nadal głośno żali się, mężczyzna czuje się niepotrzebny, niekompetentny i odchodzi. Nie mając pojęcia o tym, że kobieta "zrzędząc" nie prosi w większości wypadków o plan działania, lecz o wysłuchanie, współczucie i przytulenie.

Problemem w porozumiewaniu się jest nawet formułowanie prośb. Kobiety często "owijają w bawełnę" myśląc, że mężczyzna wylapie z jej przydługiej wypowiedzi, o co chodzi. Mężczyzna natomiast tylko przyjmuje coś do wiadomości, nawet nie domyślając się, że w komunikacie za-

warta była prośba np. prozaiczne wynoszenie śmieci. Kobieta zazwyczaj informuje: „W całym domu cuchnie, z kosza na śmieci aż się wysypuje”. Mężczyzna odczytuje to dosłownie: „Trudno”, a w podtekście wylapuje słowa krytyki: „Ty niedorajdo, drobne wszy cię zjedzą” - stawia opór i obrażony nie robi nic. Inaczej byłoby, gdyby kobieta jednoznacznie powiedziała „Proszę, wynieś śmieci” - konkretna prośba, konkretna czynność do wykonania, konkretna reakcja (zazwyczaj).

Po tym fantastycznym czasie, gdy miłość dopiero kielkuje (wiosna) i po czasie, gdzie w czarnej glebie codziennego życia trzeba pracować, by nie zarosła chwastami (lato) nadchodzi czas zniw. *Jesień* miłości - czas zbierania owoców naszej letniej pracy. Złoty czas - bogaty i, jeśli pracowało się sumiennie, przynoszący zadowolenie; można się odprężyć i cieszyć miłością. Ponoć jest to czas, w którym odkrywa się sedno miłości. Ponieważ człowiek nie podlega już szczeniackim, bezkrytycznym zauroczeniom.

Przez lata wzajemnego zmagania się z odrębnością tej „drugiej połówki

pomarańczy” zaczyna się ją rozumieć, przyzwyczajając się do tego, że prawdziwa miłość to nie ciągle lanowanie siebie, ale ciągle naginanie swojego pomysłu na życie dla drugiej osoby.

Oczywiście nieprawdą byłoby przedstawianie tej pory miłości jako mlekiem i miodem płynącej. Często na plany i złote liście zaczyna przyszyć śnieg. Nadchodzi *zima* miłości - czas stagnacji, utrudnionego kontaktu, braku (szeroko rozumianej) atrakcyjności, zawiedzenie, może utrata ukochanej osoby. To też trzeba przeżyć, to też ma lub będzie miało (to dla nastolatków) czegoś nauczyć. Zawsze trzeba pamiętać, że tak jak w naturze po zimie następuje wiosna, tak i w życiu uczuciowym spod śniegu i lodu wyrastają przebiśniegi i krokusy, które czasem cieszą oczy i serca bardziej, niż rozkwitnięty ogród w pełni lata.

Iwona

**P.S.** Moje życzenia dla wszystkich. Obyśmy przeżywali wszystkie pory miłości w należytej kolejności i z należytą świadomością.

## Dlaczego odeszłam od wiary?

... „Zaczekaj! Nie przechodź przez ulicę! Na pewno stanie ci się coś złego, bo przedostałaś się pod rozłożoną drabiną!” - usłyszałam czyjś krzyk, rozglądnęłam się, ale nikogo za mną nie było, śmiałym krokiem weszłam na jezdnię, śmiejąc się z tego, czego właśnie się dowiedziałam. Oczy odruchowo popatrzyły się w lewo i w tym momencie zamarłam w bez ruchu. Dziesięć metrów ode mnie jechał dzwoniący tramwaj. Nie mogłam się ruszyć, czekałam, co będzie dalej. Tramwaj zdążył się zatrzymać. „Dzięki Bogu” - pomyślałam, odetchnęłam i ruszyłam dalej...

Zawsze kiedy wracam do tego wydarzenia zastanawiam się nad tymi słowami, które przyszły mi na myśl: „dzięki Bogu” takie proste słowa, a jednak nadal niezrozumiałe.

Pamiętam, kiedyś stałam sobie w kościele. Trwała właśnie jakaś tam msza, taka zwyczajna. Ksiądz jak zawsze dużo mówił o polityce, alkoholu, o tym, że trzeba pozbierać pieniądze. Głędził coś o miłości, o duchach, o Bogu, a ja tymczasem coraz bardziej nie wiedziałam, po co

ja tu tak naprawdę stoję. Czego chcę? Dlaczego tu przyszedłam? Doświadczałam tylko coraz większej nudy, ogromnego zmęczenia i bezsensu. Patrzyłam martwo na ławki pełne ludzi, którzy od czasu do czasu bez przekonania potakiwali księdzu głowami. Takie stado ogłupiałych owiec. Czy oni w ogóle umieją myśleć? Sami podejmować decyzje? Żyć w wolności?

Na początku do mojego umysłu wkradło się parę z pozoru całkiem niewinnych myśli: Może to wszystko wymyślili jacyś mądrzy ludzie? Może Bóg tak naprawdę nie istnieje? Jest jakiś Bóg? Gdzie? Tutaj? Gdzie nic nie wydaje się być prawdą? Wśród tego tumultu, snobizmu, dewocji i wszelkiego fałszu? Myślałam i myślałam coraz więcej i naprawdę nie znalazłam żadnego racjonalnego dowodu na istnienie Boga. Bo przecież w kościele nic nadzwyczajnego się nie dzieje. Nasz świat jest w gruncie rzeczy zły. Ludzie jedni drugich mordują. A Bóg? Jeśli nawet jest, to siedzi sobie gdzieś tam smacznie w obłokach. Więc nawet jeśli jest, czy jest czegoś warty taki imperialista pasywności? To wszystko to

jakaś wielka paranoja. Po co udawać, że coś jest, skoro nie ma? Przecież niczego nie ma. NIC NIE ISTNIEJE! Tak na dobrą sprawę to wszystkie zasady etyczne i moralne jestem w stanie wymyślić sama. Przecież nie jestem głupia. Wyszedłam z kościoła i już do niego więcej nie wróciłam. Po prostu.

Czasem się jednak zastanawiam Kim, czy Czym jest Bóg. Co skłoniło mnie do tego, żeby wtedy przed tramwajem wymówić Jego imię? Dlaczego właśnie Jemu chciałam dziękować? Czyżby to On sprawił, że nie zginęłam?

NIE. Na pewno to nie stało się dzięki Niemu. Drabina też nie miała z tym faktem nic wspólnego. To był zwykły przypadek. A tamte słowa przyszły przez przyzwyczajenie. Ot, po prostu.

Moja historia jest taka: Nie udało mi się doświadczyć Boga. Kościół jest dla mnie jedną, wielką nudą i utopią. Umiem sobie radzić sama. Wygodniej jest mi myśleć: Boga nie ma...

Zapisała: **Majka**

## HISTORIA

## Moja droga do Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Wielkiej Brytanii (1)

*Tak zatytułował swoje wspomnienia z lat wojny przedwojennej mieszkaniec Biezanowa, emigrant, p. Tadeusz Kramarz. Rozpoczynamy przedruk jego pracy z masyzynopisu udostępnionego nam przez p. Jana Madeja.*

### Okres do 1 września 1939 r.

Nazywam się Tadeusz Kramarz, pochodzę z przedwojennej wsi podkrakowskiej Biezanów, po II Wojnie światowej włączonej do Wielkiego Krakowa jako jedno z osiedli dzielnicy Kraków- Podgórze. Urodziłem się w roku 1915.

Po ukończeniu 8 klas Gimnazjum im. Króla Jana Sobieskiego w Krakowie w roku 1934, odbyłem ochotniczo czynną służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej. Ukończyłem ją w 1935 r. z wynikiem dobrym. Dowódcą kursu był dr kpt. Zdzisław Szydłowski. Do rezerwy przeszedłem w stopniu kaprała podchorążego.

Z uwagi na pogarszające się warunki materialne rodziców, gdyż emerytura ojca, byłego pracownika PKP, z roku na rok ulegała obniżeniu, nie poszedłem na studia, lecz podjąłem pracę w samorządzie terytorialnym. W 1936 r. odbyłem pierwsze ćwiczenia rezerwy w 20 PP, a w roku następnym powołany zostałem na drugie ćwiczenia w tym samym pułku.

Podczas manewrów nabawiłem się przewlekłego bronchitu, który - z uwagi na towarzyszącą mu wysoką temperaturę - eliminował mnie z brania czynnego udziału w forsownych ćwiczeniach i dowodzenia plutonem. Skutek był taki, że nie uzyskałem po manewrach wymaganej oceny.

Po ćwiczeniach i dłuższym leczeniu kontynuowałem nadal swoją pracę, czyniąc w międzyczasie starania o uzyskanie lepiej płatnej pracy w sektorze państwowym.

W marcu 1939 r. powołany zostałem na 10-tygodniowe ćwiczenia rezerwy, czyli na tzw. „cichą mobilizację”, nadal jednak w stopniu kaprała podchorążego. Ćwiczenia te odbyłem w 12 PP w Wadowicach, a ściślej w kompanii kpt. Barysa, zakwaterowanej w prywatnych domach w Choczni.

Ponieważ pod koniec ćwiczeń uzyskałem dobrą ocenę, wezwany zostałem do złożenia dodatkowego egzaminu na stopień oficerski. Egzamin składałem przed komisją, której przewodniczącym był ówczesny zastępca dowódcy Pułku ppłk Mordarski. Ponadto w skład komisji wchodził kpt. Barys i jeszcze jeden oficer, w stopniu porucznika, którego nazwiska nie pamiętam. Egzamin ten trwał dwa dni, tak z teorii, z terenoznawstwa, jak i z praktycznego dowodzenia w terenie. Złożyłem go z oceną pozytywną, a od podpułkownika Mordarskiego otrzymałem gratulacje i zapewnienie, że wysyła wniosek o nadanie mi stopnia podporucznika rezerwy. Zaświadczenie stwierdzające złożenie w/w egzaminu, wystawione przez ppłka Mordarskiego w Anglii w 1944 r., winno znajdować się w mojej ewidencji w III Batalionie I Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

### Kampania wrześniowa.

Na kilka tygodni przed wybuchem wojny otrzymałem korzystniejszą pracę w instytucji państwowej w Warszawie, gdzie też zamieszkałem przy ul. Złotej. Krótko jednak trwała moja radość, w powietrzu czuło się nadciągającą burzę wojenną.

29 sierpnia otrzymałem z Krakowa kartę mobilizacyjną do 12 PP w Wadowicach. W pułku zameldowałem się 30 sierpnia w godzinach wieczornych. Nie mając jeszcze w ręku formalnej nominacji na podporucznika, mimo zdanego dodatkowego egzaminu, w gorączce ewakuacyjnej

pułku, jako kapral podchorąży, otrzymałem przydział na zastępcę dowódcy plutonu strzeleckiego w Batalionie Zapasowym, którego dowódcą był mjr Kolanowski.

Pułk w etatowym stanie wyruszył w pole ze swych kwater nocą 31 sierpnia, celem zajęcia odcinka obrony w koszarach. W dniu napaści armii hitlerowskiej na Polskę zajęci byliśmy przygotowaniem do ewakuacji magazynów broni, sprzętu i kancelarii, które 2 września załadowaliśmy do podstawionego pociągu towarowego. Od momentu wyruszenia z Wadowic pociąg nasz atakowany był przez lotnictwo niemieckie. Żółwim tempem posuwaliśmy się w kierunku wschodnim, Kraków-Płaszów mineliśmy 4 września, a dwa dni później, jako ostatni transport, znaleźliśmy się przed Tarnowem. Za nami jechał tylko pociąg pancerny.

Most na Dunajcu przed Tarnowem był uszkodzony, tory zablokowane transportami, przeważnie wojskowymi. Na skutek ciągłych bombardowań i ostrzeliwań z samolotów oraz braku możliwości dalszej jazdy, jednostka nasza, jak również wszystkie inne, znajdujące się przed nami, otrzymały rozkaz opuszczenia transportów i marszu na przeprawę przez Dunajec, gdzieś za Mościskami.

Nie zdążyliśmy się uformować i oderwać od linii kolejowej, gdy otrzymaliśmy pierwszy ogień z karabinów maszynowych od strony poludniowej. Większość sprzętu i uzbrojenia załadowanego w Wadowicach, pozostało w pociągu.

Celem naszej jednostki było dotarcie do - zmieniającego się ciągle - punktu koncentracyjnego wojsk. Od tej chwili cofaliśmy się ustawicznie pod gradem bomb i pocisków samolotów myśliwskich nieprzyjaciela, trasą Mielec - Rozwadów - Tarnobrzeg - Jarosław. Tutaj zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek w pobliżu dworca

kolejowego. Korzystając z chwili przerwy oddaliłem się od kolumny na kilkadziesiąt kroków celem nabrania wody. W tym czasie zaskoczyły nas niemieckie bombowce lecące na niskim pułapie. Zrzuciły kilka bomb na zgrupowane oddziały i pobliski dworzec kolejowy. Mogę mówić o dużym szczęściu, gdyż po powrocie do kompanii zastałem moje oporządzenie przysypane gruzem.

Od Jarosławia aż do samego Lubaczowa posuwaliśmy się pod ogniem ciężkiej artylerii niemieckiej. Na obrzeżu Lubaczowa zajęliśmy stanowiska obronne, ale już po kilku godzinach dano rozkaz wycofania się na kierunek Zamość - Tomaszów Lubelski - Rawa Ruska, z zamiarem dotarcia do Lwowa. Wkrótce jednak okazało się, że Lwów był już okrążony przez Niemców, więc skierowano nas do Tarnopola, a następnie przez Buczacz do Stanisławowa.

Kiedy dotarliśmy do granicy miasta, trzeba było szybko zawrócić, ponieważ do centrum Stanisławowa wkraczały już oddziały armii radzieckiej, z którymi mieliśmy rozkaz nie nawiązywać walki. W tej sytuacji zgrupowane w tym rejonie oddziały otrzymały rozkaz przebiccia się ku granicy węgierskiej. W drodze doszła nas wiadomość, że Rząd Polski, nie widząc dalszej możliwości prowadzenia walki, skierował się ku granicy rumuńskiej.

### Internowanie na Węgrzech.

Granicę węgierską przekroczyliśmy 20 września 1939 r. i tam złożyliśmy broń.

Moim pierwszym miejscem internowania na Węgrzech była miejscowość Dömös, w której ulokowano oficerów i podchorążych. Po kilku dniach przetransportowano mnie wraz z pozostałymi podchorążymi do obozu w miejscowości Rakocsaba.

Tutaj dotarła do nas wiadomość, że generał Władysław Sikorski przedostał się do Francji i tam tworzy Polską Armię. Z kraju od rodziny otrzymałem pierwsze niepomyślne

wiadomości. Szwagier, por. inż. Stefan Grodecki, jedyny lotnik, jaki brał udział w obronie Westerplatte, gdzie zresztą na stałe pracował, wraz z całą załogą dostał się do niewoli.

Jego żonie, a mojej siostrze, Joannie, po zajęciu przez Niemców Gdańska, udało się wymknąć ze swego mieszkania we Wrzeszczu i dostać do Torunia, gdzie zatrzymała się - nie na długo zresztą - w mieszkaniu starszej naszej siostry Marii i jej męża Leona Gabryelewiczów, właścicieli restauracji „Pod Strzechą” przy ul. Chelmińskiej.

Ale rychło, już w październiku, musiała uciekać przez okno, gdy do restauracji wpadli Niemcy i aresztowali Marię i Leona (i ślad po nich zaginął). Joannie szczęśliwie udało się dojechać do Krakowa i zamieszkać z rodzicami.

W Budapeszcie nadal czynna była Polska Ambasada, skąd do naszego obozu dotarł poufny rozkaz, aby nie wszczynać na własną rękę ucieczek, które dezorganizowały pracę Ambasady, a ponadto narażały uciekających na aresztowanie przez węgierską policję.

Ewakuacja do Francji, zgodnie z planem Ambasady, miała być przeprowadzona w warunkach konspiracji, w małych grupach, i to dopiero po dotarciu do obozu informacji o przygotowaniu paszportów dla wyszczególnionych osób.

Wysłannik Ambasady, który zjawiał się w obozie na przełomie października i listopada, zrobił nam potajemnie zdjęcia do paszportów. Zobowiązał nas czekać na hasło do ucieczki. Należało skierować się do Budapesztu po paszport, cywilne ubranie i niezbędne zaopatrzenie do podróży.

W zimie coś ruszyło z ewakuacją, od czasu do czasu zaczęto wzywać po kilka osób z obozu. Będąc zawsze zdyscyplinowanym żołnierzem, cierpliwie czekałem na swoją kolejkę.

Niestety, nie doczekałem się. Dobiegała końca zima 1940 r., Węgrzy

zlikwidowali nasz obóz, a nas pozostałych przewieźli pod strażą do Ereskujwar.

Sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa, daremnie oczekiwaliśmy łącznika z Budapesztu z zawiadomieniem o przygotowaniu paszportów.

Obóz w Ereskujwar był ogrodzony siatką, na zewnątrz pilnowały nas gęsto rozstawione posterunki węgierskie, tak że o ucieczce przez ogrodzenie nie mogło być mowy.

Chyba w marcu Węgrzy zażądali od Polskiej Komendy Obozu przygotowania dużej grupy internowanych do pomocy przy robotach polowych.

Zaświtała nam nadzieja rychłego wydostania się poza obóz, planowaliśmy bowiem, nie czekając dłużej na łącznika z Budapesztu, na własną rękę przedostać się do Polskiej Ambasady.

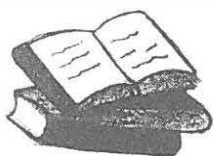
Trzech nas było, zaprzyjaźnionych i zdecydowanych na zrealizowanie tego planu: plutonowy podchorąży Longin Stachański z Warszawy, kapral z cenzusem Jerzy Głogowski z miejscowości Brzozowice-Kamień pow. Tarnowskie Góry i ja.

W trójkę zameldowaliśmy się u pełniącego obowiązki Polskiego Komendanta Obozu majora Z., pochodzącego prawdopodobnie ze Stanisławowa, wyluszczyliśmy mu swój plan prosząc o wciągnięcie nas na listę żołnierzy wytypowanych do pracy na roli. Spotkało nas jednak przykre rozczarowanie, gdyżśmy się bowiem wygadali, że planujemy ucieczkę, stanowczo odmówił pomocy, oświadczając, że „tutaj potrzeba ludzi do pracy, a nie do ucieczki”.

Czuliśmy się bardzo rozgoryczeni i zawiedzeni, do dziś czuję żal do wspomnianego majora; być może moje losy potoczyłyby się nieco inaczej, choć kto wie, czy to nie z woli Opatrzności takie było moje przeznaczenie.

Po wyjeździe grupy na roboty, resztę pozostałych w obozie - w tym i nas - przewieziono pod silnym konwojem do obozu w Leva, a potem do innego - w Estergom. C.D.N.

**Tadeusz Kramarz**



## MOJA KSIĄŻKA

### Stworzyć dom

Każdy człowiek czyta co innego. Niektórych fascynują tylko fantastyczne historie, straszące i odrażające swoimi wymyślonymi postaciami i sytuacjami, na które zwykły, przeciętny człowiek nie ma miejsca w swojej małej główce. Są tacy, których pochłaniają wyłącznie romanse typu „harlequin”. Ja zaliczam się do ludzi, którzy czytają wszystko co im wpadnie w ręce.

Ostatnio przeczytałam książkę Williama Whartona pt. „Dom na Sekwanie”. Została ona dopiero co wydana jako światowa prapremiera najnowszej powieści tego wybitnego pisarza, autora takich tytułów jak: „Ptasiek”, „Tato”, „W księżycową jasną noc”, czy „Spóźnieni kochankowie”.

Bohatera (czyli samego pisarza) pasja malarska sprowadza do Francji. Za namową żony kupuje on barkę przycumowaną przy Sekwanie, chcąc tam zamieszkać. Natrafia jednak na wielkie przeszkody, które wraz ze swoją rodziną próbuje pokonać. Napotykają oni także historie zabawne, które ożywiają ich trudną sytuację...

Książka ta pokazuje nam pracę i poświęcenie człowieka, który „z uporem Syzyfa” poświęca swoje siły i czas, aby jego dom mógł zaistnieć, żeby jego rodzina miała gdzie mieszkać i w końcu byli szczęśliwi. Czytając tę powieść obserwowałam jak zwykły człowiek boryka się ze znalezieniem, obronieniem i zbudowaniem „własnego rodzinnego gniazdką”. Obcując z tym dziełem dowiadujemy się, co czuje człowiek, który wie, że aby osiągnąć swój cel, musi bardzo ciężko pracować. Poznajemy, jakie doznania pojawiają się przy częstych jego niepowodzeniach. Potem możemy stwierdzić, że przez przyzwyczajenie się do trudu człowiek dochodzi do frajdy ciężko pracując.

Bohater uważa, że „nie ma nic piękniejszego od rodziny, która pomaga sobie nawzajem”. Rodziny, która zawsze trzyma się razem. Autor udowadnia, że gdy jesteśmy razem ze swoimi bliskimi, choć umiemy mało dokonać możemy wiele.

Każdy człowiek chce w życiu stworzyć, zbudować sobie dom o jakim marzy i w jakim jego życie nabrałoby kolorów. Nie każdy jednak odważa się, aby to uczynić lub nawet spróbować, a jednak dopiero kiedy zacznie się realizację tych marzeń, można stwierdzić, ile trzeba pokonać trudności i przeciwności losu, aby wyjść w końcu na swoje. Bo przecież jeśli nie wiesz, jak coś powinno się robić, wszystko jest możliwe. A dopiero po trudzie i ciężkiej pracy widzi się wszystkie wielkie korzyści płynące z całego wysiłku.

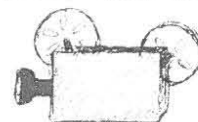
Czytelnik zastanawiając się nad kolejnymi „krokami” życia bohatera ma możliwość porównywania własnych problemów do spraw przedstawionych w powieści. Możliwe jest to ze względu na bardzo realistyczne, dokładne przedstawianie opowiadania opisującego życie autora. Człowiek czytający czuje się, jakby stał z boku i dokładnie obserwował zdarzenia, spozostzegając najmniejszy ruch ręką, czy nawet niewyraźną minę, niekiedy nawet ma wrażenie jakby rozmawiał z bohaterem o jego życiu, o jego ciekawych przygodach i całkiem zwykłych problemach. Czas teraźniejszy w jakim jest pisana powieść sprawia, że książka jest bardzo wciągającym dziełem. Poza tym zabiera jeszcze trochę czasu (choć ma tylko 253 strony) człowiekowi, który lubi pomyśleć, zastanowić się, wychwycić głębszą myśl w czytanim przez siebie tekście.

Moim zdaniem ta książka jest bardzo ciekawą powieścią, z której można wyciągnąć bardzo korzystne wnioski na całe życie. Uważam też, że bardzo dobrze się ją czyta, z powodu krótkich podrozdziałów i niedługich zdań. Bardzo mi się także podobało to, że autor bardzo dokładnie i wyczerpująco wszystko przedstawia. Jednak takie opisy uniemożliwiają szybkie czytanie opowiadania. Pojawiają się też takie trudności jak włączone w tekst słowa w języku francuskim, które moim zdaniem czytelnikowi nie znającemu w ogóle tego języka nie pozwalają od razu zrozumieć niektórych zdań i wprawiają go w zakłopotanie. Uważam, że książka jest dobra dla każdego czytelnika.

Myślę, że każdy kto w przeczytanej książce próbuje odnaleźć choć trochę rzeczywistości, w której żyje, znajdzie w tej książce trochę ze swojego otoczenia. Bo, uważam, że chyba wszyscy kochamy nasze rodziny i nasz dom. Przecież nie ma jak w domu.

William Wharton, *Dom na Sekwanie*, Warszawa 1996.

Magda



## MÓJ FILM SZKOCKI HONOR

„Braveheart” to historia buntownika Williama Wallace'a, który w XIII wieku stanął na czele szkockiej szlachty, aby walczyć o wolność kraju ciemionego przez Anglików. Początkowo okupacja angielska w ogóle go nie interesuje. Nie obchodzi go, dopóki brutalnie nie wtargnie w jego życie, zabierając to, co najdroższe. Od tej pory całe życie Wallace'a jest jedną wielką walką o niepodległość kraju, w imię prawdy i godności człowieka. Ale największa walka rozgrywa się w jego własnym sercu - tam, gdzie nie ma dostępu żaden obcy, bo jedynym wrogiem może tam być jedynie on sam. Musi bowiem pokonać w sobie chęć zemsty, aby podporządkować się wyższym wartościom. I nawet wtedy, gdy zostanie sam - zdradzony i oszukany przez tych, którym zaufał, nigdy nie skłamał, ponieważ zasady stanowiły dla niego świętość. To właśnie jego szlachetność, upór i wiara pociągną do walki Szkotów, którzy odważą się uwierzyć w możliwość zwycięstwa.

**Mel Gibson**, odtwórca głównej roli, a zarazem debiutujący reżyser wykreował pełną dynamizmu i prostoty postać Wallace'a, co jest wielkim walorem filmu.

Jednak na szczególną uwagę zasługuje ścieżka dźwiękowa, skomponowana przez **Jamesa Hornera**, która urzeka swoją łagodnością, a zarazem wielką siłą.

Mogłoby się wydawać, że „Waleczne serce” to jeszcze jeden epos historyczny, jakich wiele. Ale właśnie tym, co odróżnia ten film od innych, jest ukazanie wolności w sposób bardzo wyjątkowy. Bowiem przy popularnym obecnie rozumieniu wolności na zasadzie samowoli „Braveheart” udowadnia, że prawdziwa wolność to umiejętność odpowiedzialnej hierarchizacji wartości i kierowanie się zasadami, które mimo upływu czasu są ciągle aktualne.

Michaela



## Z TECHNIKĄ NA CO DZIEN

## Jaki komputer?



Od kilku lat do naszych domów powoli, ale nieustępliwie zaczynają wkraczać nowinki elektroniczne. Dziś już mało kto wyobraża sobie życie bez telewizora, kalkulatora, czy też komputera. Ten ostatni robi obecnie bardzo dużą furorę. Staje się powoli nieodłącznym elementem naszego życia. Na co więc szczególnie należy zwrócić uwagę kupując taki sprzęt? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć w tym artykule.

Najpierw musimy sobie postawić pytanie, w jakim celu chcemy kupić komputer? Czy ma to być tylko „droga zabawka”, czy też praca, jaką wykonujemy, sprawia, że komputer jest dla mnie przedmiotem nieodzownym?

Kiedy już podejmiemy decyzję, stajemy przed kolejnym pytaniem, co „to” tak naprawdę ma być. Naszą zabawę w składanie komputera zaczniemy od **procesora**. Jest to najważniejszy element w komputerze, to on decyduje o szybkości przetwarzania danych przez naszą elektroniczną maszynę liczącą.

Najpopularniejszym producentem procesorów jest amerykańska firma elektroniczna INTEL, firma ta od lat osiemdziesiątych produkuje kolejne, u nowocześniejsze modele procesorów. Obecnie wydaje się, że absolutnym minimum jest procesor oznaczony symbolem 486DX2 60MHz. Jego cena waha się w granicach około 150 PLN\*. Szybkość przetwarzania danych przez ten „układ scalony” oraz odpowiednia ilość posiadanej przez nasz komputer **pamięci operacyjnej RAM** (minimum 4 MB) daje nam gwarancję, że najnowszy **program zarządzający** naszym komputerem (WINDOWS'95) będzie pracował w sposób zadowalający. Mimo wszystko zalecam, aby w miarę możliwości finansowych zaopatrzyć się w coś szybszego np. 486DX2 120 lub 133 MHz, które kosztują odpowiednio 250 PLN i 260 PLN, lub - co byłoby na pewno wyjściem optymalnym - w procesor PENTIUM 75 MHz (cena 360 PLN).

Należy dodać, że procesory PENTIUM poniżej 75 MHz są praktycznie porównywalne w szybkości przetwarzania danych z procesorami

486 DX2 100MHz i więcej, co powoduje, że ekonomicznie bardziej uzasadnionym zakupem byłby procesor 486 100 MHz niż np. PENTIUM 60 MHz.

Kiedy już po wielu trudnościach zdobędziemy wymarzony procesor musimy go gdzieś umieścić. Najlepszym miejscem byłaby dla niego odpowiednia **plyta główna** w cenie zależnej od rodzaju procesora, dla 486 - 280PLN, a dla PENTIUM - 400PLN. Na tej samej płycie głównej musimy umieścić jeszcze minimum 4MB pamięci operacyjnej RAM (niezbędnej do działania komputera) oraz **kartę graficzną**.

Tutaj standardem jest karta SVGA (najtańsza za 95 PLN). Przed zamknięciem płyty w **obudowie** (najlepiej Mini Tower za 95 PLN) musimy jeszcze zamontować **twardy dysk**.

Dzisiaj najmniejszy twardy dysk to 400 MB (za 400PLN) - wszystkie twarde dyski o mniejszej pamięci wydają się być nieopłacalne, ale należy pamiętać, że w miarę podnoszenia się ilości MB pamięci cena każdego z nich maleje. W związku z tym, twardy dysk o pojemności 850 MB można kupić już za około 540 PLN, a 1.28 GB (czyli 1280 MB) - za niespełna 700 PLN.

Pozostaje jeszcze tylko zamontować **stację dysków** (tutaj standardem zdaje się być stacja dysków 3.5 cala - 70 PLN) oraz **monitor**, najlepiej kolorowy (630PLN), ale zawsze można kupić o wiele tańszy czarno-biały. Pozostaje jeszcze tylko **klawiatura** za 30 PLN oraz „**mysz**” (od 24,60 PLN) i możemy stawiać pierwsze kroki w świecie komputerów...

Po podliczeniu wszystkich wydatków otrzymamy kwotę w granicach 2500-2900 PLN, co po dodaniu VAT da nam cenę w granicach 3000-3300 PLN.

Jeżeli nie dysponujemy taką kwotą zawsze możemy liczyć na „dobre serca”, a raczej na wyrachowanie sprzedających (oficjalna firma), którzy rozłożą nam całą kwotę na raty. Ich ilość i sposób spłaty pozostaje kwestią do ustalenia na linii klient - sprzedawca.

Tych wszystkich, którym w tym momencie miny trochę posmutniały (sam do takich należę), chcę pocieszyć. Dzisiaj ceny elektroniki komputerowej podlegają bardzo szybkim zmianom na korzyść kupujących i w półlegalnym handlu np. na Gieldzie Elektronicznej można podobny zestaw komputerowy z

procesorem PENTIUM 75 MHz kupić za cenę o wiele niższą. Ale tu nie ma możliwości kupna na raty, niemniej jednak serwis oraz gwarancje są zapewnione.

Na koniec coś niecoś o dodatkach. Bardzo szybko na rynek wkracza nowy **nośnik informacji**, płyta CD. Ten bardzo dobrze nam znany z odtwarzaczy kompaktowych krążek, został tym razem wykorzystany jako nośnik informacji. Możliwości programów na CD są bardzo duże i stają się one standardem w zestawach komputerowych. Ich ceny wahają się w granicach 150 PLN za CD-ROM z 2 Speed do 400 PLN za CD-ROM z 6 Speed.

Pozostał nam jeszcze jeden element składanki, może powinien on pojawić się w naszej wycieczce znacznie wcześniej, niemniej nie jest on niezbędny do rozpoczęcia pracy na komputerze. Tym „elementem” jest **drukarka**. W sprzedaży możemy nabyć dowolny rodzaj drukarki z różnymi możliwościami pracy a ceną wahającą się od 395 PLN wzwyż.

Wydaje się więc, że aby złożyć komputer średniej klasy należy wydać około 1500 PLN. Trudno dyskutować, czy to dużo, ale pozostaje faktem, że komputer coraz bardziej wkracza w nasze życie. Może się więc okazać, że dziś zupełnie nam niepotrzebna maszyna, jutro może się okazać niezbędna.

Paweł

\*Ceny za cennikiem sprzętu komputerowego PC Duo, Kraków ul. Dietla 97.





## HISTORIA KOŚCIOŁA

### Śmierć Baranka

*Dziesiątego dnia tego miesiąca niech każdy postara się o baranka dla rodziny, o baranka dla domu (Wj 12; 3a-4).*

Jerozolima - miasto wyjątkowe, nie dlatego, by nie można go było porównać z Antiochią, czy Efezem, lecz ze względu na Świątynię, gdzie mieszkał jedyny Bóg.

Co roku naród żydowski przybywał do tego 1,5 tysięcznego miasta na Święto Paschy. Dla Żyda Bóg mieszkał w Świątyni jerozolimskiej i tam należało złożyć ofiarę paschalną - rocznego baranka. Święto Paschy miało wymiar świątynny i rodzinny, uświadamiało historię narodu i było wspólną sprawą całego narodu żydowskiego. Każdy Żyd miał obowiązek przybyć na to święto do Jerozolimy i tam razem z rodziną i sąsiadami spożyć ucztę paschalną.

Jednorocznego baranka bez skazy lewicy zabijali na ołtarzu ofiarnym w Świątyni. Zabijano go w umiejętny sposób - tak aby otrzymać mięso koszerne bez krwi, gdyż według tradycji w niej było życie - a jego wnętrzności spalano na ołtarzu. W tych dniach zabijano około dziesięć tysięcy baranków i przelewano tysiące litrów krwi.

Na to święto do Jerozolimy przybywało około czterysta tysięcy ludzi. Miasto tętniło życiem, a domy pęczniały od pielgrzymów. Trzeba było kogoś przyjąć i do kogoś przyjść. Ważne było to, aby się otworzyć na drugiego człowieka.

Uczę paschalną spożywano we wspólnocie liczącej dwanaście osób. Oprócz pieczonego baranka, pito gorzkie ziola na znak goryczy niewoli egipskiej, jedzono niekwaszone chleby. Przy stole stali na znak gotowości do wyjścia, w rękach trzymano kij i sandały nakładano na nogi. Najstarszy z rodu wyjaśniał wszystkie znaki młodszemu pokoleniu. W ten sposób dawał świadectwo swojej wiary i uświadamiał historię całego narodu wybranego. Ta wyjątkowa uczta trwała od dwóch do ośmiu godzin.

W Święto Paschy Chrystus wpisał się z swoją ofiarą krzyżową. Na czas męki Bóg wybrał właśnie Jerozolimskie Święto Paschy między dwudziestym ósmym a dwudziestym dziewiątym rokiem. Czas spożywania baranka przez żydowskie rodziny to czas procesu i wykonania wyroku na Baranku posłanym od Boga. Chrystus staje się Barankiem, który potrafi zadośćuczynić, odkupić, przyjąć ludzki krzyk krzyża.

Zgładzenie Chrystusa było dla arcykapłanów ważniejsze od świąt. Będąc odpowiedzialni za porządek, składanie ofiar, w nocy przeprowadzili sąd nad Barankiem.

To nie ludzie ukrzyżowali Chrystusa, on sam się ukrzyżował dla naszego odkupienia. Sąd mógł być uznany za nieważny, gdyż zeznania świadków się nie zgodziły. Pilat i Herod mieli władzę uwolnić Chrystusa, lecz On nie chciał, nie bronił się, pił swój kielich.

Śmierć Chrystusa współbrzmi z Ofiarą Paschalną. Bóg kapitalnie wykorzystał ten czas, aby zawrzeć nowe przymierze przez krew swojego Syna. Tak oto ogromna liczba Żydów dowiedziała się o śmierci Baranka. I z tą informacją powrócili do swoich domów, aby w święta "Dziesięciu słów kochającego Boga", czyli Pięćdziesiątnicę mówić o chwale Zmartwychwstania.

Chrystus -Baranek umarł na drzewie krzyża. Wydał ostatni okrzyk, Jego serce pękło z miłości do człowieka. Z przebitego boku Chrystusa został poczęty Kościół.

## C A Ł

W Turynie, w jednej z ozdobnych kaplic jezuickich, znajduje się płótno cieszące się wielką sławą wśród pewnej części chrześcijan. Jest to pas materiału o szerokości 1,1 metra i długości 4,36 metra. Zazwyczaj jest przechowywany w skrzyneczce ustawionej na ołtarzu w kaplicy, którą zbudowano w roku 1694 specjalnie w tym celu, by w niej spoczęły relikwie.

Odkąd w roku 1898 fotografia spopularyzowała reprodukcję obrazu widniejącego na tym tajemniczym materiale, a zwłaszcza gdy w 1931 roku Enrie zrobił jego bardzo piękne zdjęcia - wizerunek ten rozpowszechnił się w całym Kościele katolickim i pod nazwą „Świętego Całunu” zdobył sobie w różnych środowiskach sławę prawdziwej relikwi. Publicznie bywa pokazywany bardzo rzadko. Takie pokazy odbyły się w latach 1898, 1931, 1933, 1978.

Gdyby można wykazać historyczną autentyczność takiego „dokumentu”, wartość tego rodzaju świadectwa byłaby wprost bezcenna, można bylibyśmy zmierzyć postać Jezusa i powiedzieć, że miał 1,78 metra wzrostu; rozpoznalibyśmy na tym portrecie wyraźny typ semicki, długi nos, wydatne usta, gęsty zarost i bujne włosy.

Obraz utrwalony na płótnie wydaje się obrazem człowieka silnego i normalnie zbudowanego; rysy twarzy są piękne i można nawet zauważyć, że proporcja głowy w stosunku do reszty ciała jest doskonała (1 do 7,5) - jest to proporcja najlepszych starożytnych posągów. Ciemniejsze i jaśniejsze plamy, znaki i ślady różnych kształtów zarysowują na tym płótnie ciało naznaczone pięcioma ranami Chrystusowymi oraz twarz urzekającej piękności.

Autentyczność Całunu nie jest zupełnie pewna. Zwolennicy Świętego Całunu toczą ostrą walkę. We Francji najbardziej wymownymi zwolennikami Całunu byli: biolog, doktor nauk przyrodniczych Paul Vignon, fizyk René Colson i chirurg, doktor Pierre Barbet. W obozie przeciwnym można wymienić kanonika Ulysse Chevaliera, C.F. Belleta, ks. Bouviera o. Brauna.

Wedle zwolenników autentyczności, historię tego Całunu można z grubsza odtworzyć w sposób następujący: Całun był rzekomo przechowywany przez wyznawców Chrystusa; u Żydów każda rzecz, która zetknęła się z trupem, była zgodnie z przepisami uważana za nieczystą i niszczone; ale można przypuścić, że chrześcijanie uwolnieni przez swego Mistrza od zbyt ciasnej obserwacji, cenną relikwię przechowali. O relikwi Całunu piszą św. Braulion (VII w.) i św. Jan Damasceński (VII w.).



# U N T U R Y Ń S K I

Najstarsze wiadomości o nim pochodzą z apokryfów z I i II wieku, kiedy płótno to przechowywała wspólnota chrześcijańska. Za Konstantyna, gdy Jeruzolimę zajęli Arabowie, miał on być rzekomo przewieziony do Bizancjum; za czasów Teodozjusza i Justyniana miał się znajdować w skarbcu cesarskim.

W roku 1204 podróżnik Robert de Clari, który tam Całun ów widział, oświadczył, że każdego piątku był on wystawiany w kościele św. Marii. Podczas rabunku miasta przez uczestników czwartej krucjaty, cenny ten przedmiot zniknął z Konstantynopola.

Odnajdujemy go w Besançon, w kościele św. Szczepana, dokąd miał go przywieść jeden z krzyżowców - Othon de la Roche, który w Konstantynopolu był podobno zakwaterowany w kościele Blachernach. W roku 1349 kościół spłonął, ale Całun, aczkolwiek trochę uszkodzony, został ocalony.

Jednak obecnie wiadomo już, że tzw. Całun z Besançon był jedynie kopią Całunu Turyńskiego, wykonaną prawdopodobnie w XV w. Kopia ta została zniszczona podczas Rewolucji Francuskiej.

Właściwy Całun odnajdujemy w opactwie Lirey w diecezji Troyes, ufundowanym przez Godfryda de Charny, który właśnie zrabował relikwię podczas jednej ze swych wojskowych wypraw. Podczas wojny stuletniej Całun znajduje się w posiadaniu Małgorzaty de la Roche, spadkobierczyni dawnych właścicieli, i ona to właśnie sprzedaje go w 1452 roku Annie de Lusignan, żonie księcia Ludwika Sabaudzkiego.

Całun bardzo zniszczony przez pożar Sainte-Chapelle w Chambéry w 1532 roku, niezbyt starannie naprawiony przez miejscowe klaryski, zostaje w końcu 1578 roku przewieziony do Turynu.

Powstała gałąź nauki zwana *syndologią*, w której najlepsi światowi naukowcy z różnych dziedzin badają autentyczność Całunu Turyńskiego.

Materiał Całunu jest robiony techniką bardzo starą; pochodzi niewątpliwie z czasów Chrystusa. W Moguncji i Palmirze odnaleziono podobne tkaniny pochodzące z epoki rzymskiej. Ani badania, ani fotografia nie wykazują najbliższego nawet „podrabiania”. Tkanina nie zdradza śladów ani pędzla, ani ołówka, ani pastelu. Kolor nie jest na płótno nałożony, ale przesyca każdą jego nitkę.

Na Całunie znajdujemy dwa rodzaje znaków. Jedne zarysowują kontur zwłok, kształty i rzeźbę ciała, drugie są śladami

ciemnej cieczy, która rzekomo wyciekła z ciała na materiał. Jeśli chodzi o pierwsze z tych znaków, które są odbiciem ciała, to zdaje się, że powstały one w wyniku procesu analogicznego do fotografii.

Płótno przesycone aloesem (taki właśnie był całun Jezusa) ma podobne właściwości jak klisza fotograficzna poddana działaniu amoniaku. Otóż ciało człowieka, który wiele cierpiał, wydziela z siebie ciecz moczową zawierającą wiele węglanu amonu. Wedle tego Całun byłby więc jakby prawdziwą kliszą Jezusowego ciała.

Hipoteza ta jest tym bardziej prawdopodobna, że rzeczywiście jeśli weźmiemy odwrócenie fotografii na Całunie, czyli jeżeli uważamy go za negatyw, otrzymujemy pozytyw, który stanowi obraz o wprost u-



rzekającej dokładności. Jest nie do pomyślenia, aby jakiś falszerz z XIV wieku wymyślił ten sposób w przewidywaniu techniki fotograficznej. Dodac jeszcze należy, iż doświadczenie wykazuje także, że jeśli działanie amoniaku na aloes przedłuża się ponad 36-40 godzin, to otrzymane odbicie nie jest już wyraźne, ale cała materia nabiera barwy brunatnej; otóż wiemy dobrze, że Chrystus nie leżał w grobie dłużej niż 36 godzin.

Podobnie badano wysokość ran na rękach i nogach - wskazują, że ciało zostało zdjęte z krzyża, a ślady ran są wyjątkowo zgodne z opisem Ewangelii.

Całun Turyński zdradza niewymowne męki jakie przeszła ofiara, są wyraźne i liczne ślady biczowania. Są oprócz tego ślady 92 uderzeń, jest ślad ciemniejszej korony, na prawym ramieniu ślad od niesionej belki krzyża, twarz opuchnięta od bicia, nos strza-

skany, na rękach i nogach krwawe ślady od gwoździ. W latach 1973 i 1978 Całun Turyński został poddany wszechstronnym badaniom przy zastosowaniu najnowszych technik naukowych. Badanie to wykluczyło możliwość fałszerstwa. Wizerunek na płótnie utworzony został przez zmianę struktury powierzchniowych komórek lnu, z których sporządzona została tkanina, a nie przez pokrycie płótna jakkolwiek obcą substancją jak barwnik, czy wyciągi z ziół. Odkryto też ślady autentycznej krwi ludzkiej w miejscach jej spłynięcia na płótno już po złożeniu ciała w grobie.

Jednakże kolejne badania węglem C 14, prowadzone w 1988 roku, stwierdziły, że całun pochodzi z okresu średniowiecza.

Na tym jednak nie koniec, ostatnie zjazdy syndologów w Cagliari (kwiecień 1990r.) i w Rzymie (czerwiec 1993 r.) potwierdziły, że wśród naukowców różnych wyznań religijnych, obiektywnie podchodzących do badań Całunu Turyńskiego, jest zgodność co do autentyczności tej świętej relikwii.

Najnowsze badania przeprowadzone w 1995 roku przez dwóch mikrobiologów z uniwersytetu w Teksasie potwierdzają, że Całun Turyński z całą pewnością pochodzi z czasów Jezusa Chrystusa. Naukowcy Leoncio Garza-Valdes i Steve Mattingly poddali szczegółowym badaniom fragmenty tkaniny pobrane z Całunu. Na tkaninie znaleziono cztery rodzaje mikroorganizmów, które znajdowały się w maściach używanych do balsamowania zwłok w I stuleciu po Chrystusie.

Całun Turyński jest wymownym świadectwem zmartwychwstania Chrystusa, co potwierdzili naukowcy, twierdząc, że nie ma na nim żadnego śladu rozkładu zwłok, choć ciało było owinięte w to płótno i nie wyjmowane z niego za pomocą ludzkich środków.

Każdy chrześcijanin patrząc na ten wizerunek czuje w głębi duszy niepochochowane wzruszenie. Pius XI w „L'Osservatore Romano” z dnia 7-8 września 1936 roku wyraził się o Całunie Turyńskim jako o *rzeczy świętej, tak świętej, jak może nic innego na ziemi, przedmiocie tajemniczym, ale na pewno nie zrobionym ręką ludzką.*

**Ewka**

## Z ŻYCIA PARAFII

### CHRZTY:

- 25.12.1995 - Magdalena Joanna Mirgos  
 - Aleksandra Janina Chmielewska  
 - Jagoda Joanna Szkodny
- 21.01.1996 - Agata Lidia Foryciarz
- 4.02.1996 - Paulina Katrzyna Szewczyk  
 - Sebastian Kamil Jurkowski  
 - Artur Mieczysław Biel  
 - Piotr Jan Piotrowski  
 - Paweł Dominik Kukla
- 3.03.1996 - Agata Ewa Biel  
 - Paweł Kasprowicz

### ŚLUB:

- 30.12.1995 - Adam Władysław Cytter  
 i Teresa Małgorzata Dańda

### ZMARLI:

- 15.12.1995 - † Antonina Cieślik, z d.Fraś, ur.1907
- 22.12.1995 - † Irena dziob, z d.Lach, ur.1929
- 25.12.1995 - † Władysława Dzierżak, z d.Czerwińska, ur.1902
- 28.12.1995 - † Józefa Korzeniowska, z d.Motyka, ur.1907
- 6.01.1996 - † Mieczysław Mazgaj, ur.1922
- 12.01.1996 - † Franciszek Gerczak, ur.1921
- 16.01.1996 - † Maria Wesołowska, z d.Kozłowska, ur.1929
- 16.01.1996 - † Henryk Tuchowski, ur.1939
- 16.01.1996 - † Edmund Zak, ur.1906
- 16.01.1996 - † Andrzej Piotrowski, ur.1945
- 8.02.1996 - † Kazimiera Aniela Kaczmarczyk, z d.Woźniak, ur.1929
- 13.02.1996 - † Jan Franciszek Cichecki, ur.1933
- 20.02.1996 - † Joanna Karolina Kłak, z d.Słowik, ur.1909
- 27.02.1996 - † Józefa Korpak, z d. Berger, ur. 1914
- 5.03.1996 - † Franciszek Gabryś, ur. 1905
- 14.03.1996 - † Sylwester Zamęta, ur. 1921



## KRONIKA

26 grudnia 1995 oraz 7 stycznia 1996 mieliśmy okazję zobaczyć niecodzienne widowisko, a mianowicie muzyczne Jasełka, w wykonaniu naszego dziecięcego chóru „Skowronki Biezanowskiej Pani”. Widowisko imponujące, przede wszystkim ze względu na ilość biorących w nim udział małych aktorów oraz ich zaangażowanie. Był to owoc wielomiesięcznej pracy dzieci i prowadzących chórek: **p. Ewy Cwiągalskiej, p. Ewy Flanek i ks. Janusza**. Na szczęście trud nie poszedł na marne; publiczność dopisała w sposób niespotykany - na każde z obu przedstawień przybyło grubo powyżej trzech setek widzów. A nam pozostały tylko nagrania kolęd na kasecie magnetofonowej i zapis video, dokonany podczas drugiego występu.

Ferie zimowe w tym roku również były okazją do organizowania wyjazdów dla dzieci i młodzieży z naszej parafii. W pierwszym tygodniu wyjechała Oaza. Na zimowisku w Jurkowie k/ Limanowej wypoczywało wraz z ks. Krzysztofem 30 osób na stałe działających we wspólnocie Ruchu „Światło-Życie”. W drugim tygodniu do Szafar k/ Nowego Targu wyjechał ks. Janusz z grupą 125 dzieci i opiekunów. Równocześnie przez całe ferie czynny był KDK „Eden”, w którym w dni powszednie członkowie Stowarzyszenia Rodzin Katolickich organizowali zajęcia dla 40 - 140 dzieci. Były wyjazdy na lodowisko, na basen oraz na narty i sanki do Koninek. W sumie akcja zimowa objęła powyżej 200 dzieci i młodzieży naszej parafii. Dla porównania Katolicka Agencja Informacyjna podała, że diecezja plocka zorganizowała w tym roku wyjazdy dla 250 dzieci. Nic dodać, nic ująć.

Okolo 800 osób wzięło udział w organizowanej po raz pierwszy rodzinnej Drodze Krzyżowej na ulicach Biezanowa. Wprawdzie przez dwa ubiegłe lata miały miejsce takie nabożeństwa, ale odbywały się one w ramach rekolekcji dla dzieci. Tym razem w piątek 29 marca ok. 18.30 całe rodziny wyruszyły na trasę Drogi Krzyżowej ulicami Lipowskiego, Drożdżową, Pruszyńskiego, Stępnia, Jędrzejczyka, Weigla i Ks. Popieluszki. Poszczególne stacje przygotowywały grupy działające w naszej parafii (Oaza, SRK, Lektorzy, Młodzież Starsza, Grupa Apostolska, Zespół Synodalny, Zespół Apostolstwa Świeckich, Komitet Budowy Kościoła i Chór).

## CO NOWEGO W KDK?

### Żeby się ludziom chciało chcieć.

Skąd taki tytuł i po co? Już tłumaczę. Wśród różnych, mniej lub bardziej ciekawych propozycji, które dla społeczności parafialnej składają miejscowi duszpasterze dla duchowego, kulturalnego czy sportowego przeżycia czasu, znalazł się turniej bilarda, który odbył się w „Edenie” w sobotę 24 lutego br.

W zamyśle moim miały to być oficjalne I Mistrzostwa Parafii. W praktyce odbyło się tylko kilka gier, a to z racji niskiej frekwencji, bądź też z racji nieobecności nawet tych, którzy się wcześniej zapisali.

A szkoda! Nagrody bowiem były miłe i atrakcyjne, co mogą potwierdzić zwycięzcy.

Dla formalności i statystyk wypada wymienić, kto grał i kto wygrał. W kategorii dzieci do lat 14 turniej wygrał **Mateusz Madej** (kl. VII) i otrzymał nagrodę w wysokości 30 zł. W kate-

gorii seniorów zwyciężył **Dariusz Kowalski**, zdobywając 50 zł nagrody.

W całym turnieju, w obu kategoriach udział wzięło 12 osób. Wspomnieć też wypada o udziale dwóch odważnych dziewczyn (**Maja Kotańska, Ola Osuch**).

Oprócz głównych wygranych, finaliści i dziewczęta otrzymały piękne albumy, a wszyscy uczestnicy coś słodkiego. Szkoda, że tak niewielu ludziom chciało się grać i tak mało było też kibiców. Może następne zawody w tej lub innej dyscyplinie „obudzą śpiących i mało chcących”.

**Ks. Milan** - organizator turnieju.

P.S. Tych, którzy mają ciekawe pomysły gier, zabaw, turniejów, którzy chcą pomóc w promocji kultury i sportu, dać swój czas i siły, zapraszam do współpracy.

„Płomień” - Pismo Parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Krakowie - Biezanowie. Redaguje Diakonia Prasowa Oazy Nowego Życia w składzie: Sabina Dziob, Ewa Jania, Maria Jania, Magdalena Kotańska, Maria Kotańska, Tomasz Kraszewski, Justyna Małocha, Agnieszka Michalik, Iwona Podgórska, Paweł Poszelużny, Ewa Tomerska, ks. Krzysztof Wieczorek (red. odpowiedzialny), Paulina Wilk, Agnieszka Zurowska. Adres Redakcji: 30-898 Kraków, ul. ks. J.Popieluszki 35, tel. 55-29-42. Skrzynka redakcyjna przy wejściu do kancelarii parafialnej.